

PRZEMÓWIENIE NA OBIEDZIE WYDANYM PRZEZ RUMUNSKIEGO MINISTRA SPRAW ZAGRANICZNYCH
ARGETOIANO

(1 października 1928 r.)

Dnia 19 sierpnia 1928 r. wyjechał Piłsudski na sześciotygodniowy wypoczynek do Rumunii. Przed powrotem swym do kraju przybył Piłsudski dnia 1 października 1928 r. do Bukaresztu dla złożenia tam kurtuazyjnych wizyt. W tym dniu ówczesny rumuński minister spraw zagranicznych Argetoiano wydał obiad, na którym po toaście Argetoiano na cześć Prezydenta Mościckiego i Piłsudskiego, Piłsudski wypowiedział poniżej przytoczone przemówienie.

Podajemy je według «Głosu Prawdy» z dn. 3 października 1928 r.

Pobyt mój w Rumunii wzmocnił uczucie sympatii i głębokiego szacunku, jakie żywiłem zawsze dla waszej pięknej ojczyzny i narodu rumuńskiego, którego szlachetną gościnność miałem ponownie sposobność ocenić.

Jestem szczęśliwy, mogąc stwierdzić, że węzły serdecznej przyjaźni, które łączyły zawsze nasze narody, zacieśniają się w dalszym ciągu ku pożytkowi cywilizacji i ku uspokojeniu Europy. Wypowiadając życzenie, aby nasze połączone wysiłki powiodły nas ku szczęśliwym przeznaczeniom, wnoszę toast za pomyślność zaprzyjaźnionej i sprzymierzonej z nami Rumunii, za zdrowie króla Michała ¹⁾, rodziny królewskiej, wysokiej regencji ²⁾ oraz rządu.

Z PRZEMYSŁEŃ NACZELNIKA PAŃSTWA

(Częste przemyslenia)

(5 listopad 1928 r.)

Pod powyższym tytułem pojawił się w «Expressie Povernym» z dnia 11 listopada 1928 r. poniżej przytoczony artykuł, datowany 5 listopada 1928 r., o ludziach «bez wczor-

¹⁾ Po śmierci króla Ferdynanda I królem został jego wnuk Michał, gdyż syn — Karol II, wyrzekł się wtedy praw do tronu.

²⁾ Rada regencyjna składała się z patriarchy bukareszteńskiego Mirona, prezydenta najwyższego sądu Buzdygana, oraz ks. Mikołaja, stryja małego króla Michała.

raj», bo wstydzących się swej przeszłości i o ludziach «bez jutra», bo śmiesznych budowaniem nierealnych planów.

Tekst podajemy wealug «Expressu Porannego» z dnia 11 listopada 1928 r., w którym to numerze zostało zamieszczone i facsimile rękopisu tego artykułu.

Ludzie bez wczoraj, ludzie bez jutra. To wczoraj — było, lecz mieszkał tam wstyd. Wstyd niemały, wstyd duży. Gdzieś ktoś kupował, gdzieś ktoś się sprzedawał, gdzieś ktoś zrzucił dolne ubranie, gdzieś ktoś nieprzyzwoicie całował. I we wczoraj mieszka wstyd. Lepiej go nie mieć, lepiej o nim zapomnieć, lepiej przykryć je kłamstwem i blichтром słowa, lepiej nie być wczoraj, gdzie mieszka wstyd. Ludzie bez wczoraj...

Ludzie bez jutra. Czy jutro, co spotka nas — gdy myślimy o nim dzisiaj — czy słońcem rumianym, czy schmurzonym nieba obliczem, to jutro, co je codziennie inną nazwą dnia w tygodniu chrzcimy, jest podobne w czymkolwiek do tego jutra, które spotykać będą nasze dzieci czy prawnuki? Czy można te jutra, tak odległe od siebie w czasie, zbliżyć i utożsamiać? Wątpię i nie mogę się zgodzić, by nie odróżniać prawdy od metafory. I oto gdzieś ktoś buduje kanały, którymi morskie olbrzymie okręty i statki do Warszawy przez Wisłę sprowadzi, i wyrzuca na to realne — nie metaforyczne — pieniądze; ktoś gdzieś armię w projekty i pomysły uzbraja, gdy żołnierz nie ma butów i zwykłego karabinu, — i na te projekty łoży nie metaforyczne, lecz realne pieniądze; ktoś gdzieś obowiązkowe nauczanie wprowadza, nie myśląc ani o budynkach szkolnych, ani o nauczycielach. Gdzieś zamki na lodzie — i to wiosną — budują, gdzieś gwałtem z piasku bicze kręcą, licząc, że bić nimi będą, aż ziemia zadudni. Ludzie bez jutra!...

Ludzie bez wczoraj i ludzie bez jutra — ludzie bez cienia. Jeden cień wstecz się cofa, tam, gdzie wstyd mieszka, od innych cieni zmyka w dal, tam, gdzie śmiech zamieszkuje. Ludzie bez wczoraj, ludzie bez jutra! Czyż może dzisiaj należeć do tych, co cienia nie mają?!

*

Czy widział kto kiedy efemerydy? Gdym czytał niegdyś dzieckiem, że są potworki jakies, co żyją zaledwie pół dnia i mniej, to znaczy — po urodzeniu się zaraz umierają, sądziłem, że to jakies zupełnie małe pajęczki czy robaczki, zatem prawie nic nie widzą i nic nie słyszą. Z tym dziecinnym wyobrażeniem jakiegoś dziwactwa przyrody żyłem spokojnie do wieku dojrzałego. I wreszcie raz je ujrzałem. Pamiętam, było to

w Wilnie, w czerwcowy, upalny i nieco duszny dzień. Szedłem od wspaniałej katedry po prospekcie Świętojerskim, co go dzisiaj Adama Mickiewicza ulicą nazwali, szedłem, jak bezdomny tułacz, śpiesząc wieczorem na przygotowany nocleg, gdzieś za mostem Zwierzynieckim, by bezdomną głowę w bezpiecznym miejscu na poduszce skłonić. Wydawało mi się, że czas idzie na burzę. Gdym się do mostu zbliżał, spostrzegłem wysokie łukowe latarnie, jak gdyby przyćmione od oparów, i grupki ludzi, stłoczonych i żywo rozmawiających, tak, jakby wypadek jaki zdarzył się na ulicy. Zwolniłem kroku i nagle poczułem na sobie dotknięcie jakiegoś owadu; trwało to chwilę tylko i owad już był na murze, by zaraz potem znaleźć się na chodniku i za chwilę znowu — w rynsztoku. Gdym ruszył dalej, znalazłem się w jakiejś gęstwie tych owadów, które czyniły ruchy, nie zatrzymując się ani na chwilę, ruchy, z tak wyraźną i tak jaskrawą bezcelowością i bezmyślnością czynione, że nie można było z niczym dotąd widzianym tego bezmyślnego stanu porównać. Koło łukowych lamp owadów było mnóstwo — jakaś gęstwa istot, które poruszały się wszędzie z tą samą bezmyślnością i jakąś tępą prawdą głupoty w różne strony — na dół, na górę, na bok, na lewo, na prawo. Jakieś ćwierć życia, ćwierć chęci, ćwierć myśli i ćwierć istnienia. Gdym mijał most, spojrzałem w wartkie nurty Wilii — tam w cieniu działało się to samo, co wysoko przy lampie elektrycznej, rzucającej jaskrawe, blade-niebieskie światło w przestrzeń.

Kiedy nazajutrz z rana wracałem ze Zwierzynca do miasta, stróże kamieniczni zmiatali dużymi miotłami gęstwę efemeryd do kloaki.

Patrzyłem na tę bezmyślną zielonkawą masę i myślałem — a jednak, a jednak i to jest życie! I może pomiędzy bezmyślnymi ruchami, czynionymi przez efemerydy, może przez chwilę jedną taka istota upajała się myślą, że zaraz zmieni się w człowieka i siłą swoją zmusi człowieka stać się efemerydą? Może, zamarzona, myślała, że zamieszka w ludzkim mieszkaniu, a człowieka wyśle latać bezmyślnie nad rzeką czy przy lampie łukowej? Kto wie?! Dostatecznie bezmyślne są takie istoty...

5/XI. 1928 r.

J. Piłsudski.